

Mistrz

Są ludzie, o których pisze się dobrze, gdy odejdą, bo tak wypada. Ale są i tacy, o których po prostu nie da się pisać inaczej. Pamiętnego dla Polski 17 września odszedł od nas prof. Stefan Kozłowski, mój Mistrz i Nauczyciel.

Był Lwowiakiem, w tym pięknym mieście urodził się na początku 1928 roku. Ale nauki pobierał w Krakowie m.in. pod okiem prof. Walerego Goetla, twórcy sozologii. Z pewnością te dwa ośrodki, klimat rodzinny, dom o wielopokoleniowych tradycjach patriotycznych, gdzie panował kult nauki i pracy, a także kontakt z osobami tego formatu, co wspomniany prof. Goetel, wpłynęły na drogę naukową i postawę życiową Profesora.



Z ligawą na progu domu w Radachówce. Fot. Anna Koćwin

Rozpoczął od geologii – magisterium, doktorat i habilitację z tego zakresu obronił na AGH w Krakowie, ponad pół wieku pracował w Państwowym Instytucie Geologicznym. Odbił wiele zagranicznych wypraw badawczych: Mongolia, Kuba, Libia. Jednak bardzo wcześnie, bo już od drugiej połowy lat 60. pojawiają się Jego prace dotyczące ochrony przyrody nieożywionej. Nurt ochroniarski w badaniach i pracach Profesora od tej pory przybiera na znaczeniu, odsuwając nieco w cień badania geologiczne. Z jego inicjatywy powstają katalogi rezerwatów i pomników przyrody nieożywionej w Polsce. Ale Profesor nie ogranicza się tylko do przyrody nieożywionej, choć ta zdaje się mu znacznie bardziej bliska z uwagi na zainteresowania naukowe. W latach 80. publikuje prace z zakresu ochrony krajobrazu, był wielkim rzecznikiem tworzenia parków krajobrazowych.

Na początku lat 80. wraz z prof. Z. Wierzbickim i W. Brzezińskim publikuje raport o stanie środowiska przyrodniczego w Polsce i wpływie jego zanieczyszczeń na zdrowie ludzkie. Był to pierwszy raport o tak szerokim zakresie, ukazujący ogrom zniszczeń i zanieczyszczenia środowiska przyrodniczego, jakie spowodowała gospodarka komunistyczna. Walka o przyrodę, bo tak należy nazwać działania Profesora, od tego czasu się wzmacnia. Wystarczy wspomnieć zahamowanie zaawansowanych planów budowy kopalni i huty metali nieżelaznych na Suwalszczyźnie, fabryki tlenku glinu pod Kielcami, elektrowni atomowej w Żarnowcu itp. Wszystkie te zagrażające przyrodzie inwestycje nie powstały.



Planując skansen. Fot. Anna Koćwin

Od początku lat 80. angażuje się Profesor w działalność polityczną, wierząc, iż ma ona kluczowy wpływ również na stan środowiska w Polsce. Jak sam wspominał, do „Solidarności” zapisał się już na pierwszym zebraniu w PIG. W roku 1989 był współorganizatorem tzw. podstolika ekologicznego w ramach Okrągłego Stołu. Jakkolwiek by nie oceniać tych przemian, to z pewnością działania w sferze ekologicznej doprowadziły na początku lat 90-tych do wielu pozytywnych zmian. Zaangażowanie polityczne zaprowadziło Profesora w ławy sejmowe jako posła z Opolszczyzny oraz na ul. Wawelską jako Ministra Ochrony Środowiska Zasobów Naturalnych i Leśnictwa. Funkcję tę sprawował niespełna rok, bowiem rząd premiera Jana Olszewskiego szybko upadł. Jednak w tym krótkim okresie czasu Profesor uczestniczył jako oficjalny delegat Polski na Szczyt Ziemi w Rio de Janeiro, gdzie w imieniu naszego kraju podpisał szereg dokumentów mających na celu ochronę środowiska w wymiarze globalnym oraz promocję ekorozwoju, którego stał się wielkim rzecznikiem i

propagatorem.

To właśnie w ekorozwoju (który uważał Profesor za proprzyrodniczą odmianę rozwoju zrównoważonego) upatrywał on modelu pogodzenia interesów wzrastającej ilościowo populacji światowej z zachowaniem środowiska przyrodniczego w możliwe najmniej naruszonym stanie. Ideę tę, świeżą jeszcze i dopiero rodzącą się, Profesor napełniał treścią. Również niefortunna z perspektywy czasu i z punktu widzenia przyrodników decyzja o inwestycjach narciarskich w Karkonoszach, jaką podjął w czasie swego ministrowania, była, jak przyznał w jednym z wywiadów, próbą pokazania takiej właśnie formuły zrównoważonego rozwoju. Nie błądzi jednak tylko ten, kto nie robi nic.

Po obaleniu rządu, w którym był ministrem, Profesor został członkiem Rady Ekologicznej przy Prezydencie Lechu Wałęsie. Było to społeczne ciało o charakterze doradczym, skupiające wielu wybitnych naukowców, ale również przedstawicieli organizacji pozarządowych. Wraz z zakończeniem kadencji prezydenckiej L. Wałęsy, Rada została rozwiązana.

Od lat 90-tych aż do śmierci trwał okres „dydaktyczny” w życiu Profesora. Rozpoczął pracę na KUL-u, w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, Wyższej Szkole Humanistycznej w Pułtusku oraz Wyższej Szkole Ekologii i Zarządzania w Warszawie. Czas zapełniał pracą naukową, dydaktyką, aktywną działalnością w wielu instytucjach (Komitet „Człowiek i Środowisko” przy Prezydium PAN, Komitet Przestrzennego Zagospodarowania Kraju PAN, Komitet Prognoz „Polska 2000 Plus” i inne). Pisał również wiele poczytnych książek z zakresu ekorozwoju, ochrony litosfery, międzynarodowych problemów ochrony środowiska i zagospodarowania przestrzennego oraz wygłasza referaty na licznych międzynarodowych i krajowych konferencjach. Na jednej z nich, w Krynicy, 17 września 2007 r. w godzinach przedpołudniowych, podczas wygłaszania referatu, Jego serce przestało bić na zawsze...

Opisanie życia i pracy tak wielkiego uczonego nie jest możliwe w krótkim artykule. Nie jestem zresztą przekonany, czy to konieczne, bowiem każdy kto zechce, z łatwością sięgnie po Jego prace. Wydaje mi się, że cennym jest natomiast przekazanie tego, jakim był człowiekiem na co dzień, w pracy, jako naukowiec, społecznik i działacz. Jako najmłodszy jego uczeń czuję się w pewnym stopniu uprawniony, by choć kilka słów przekazać tym, którzy go nie znali lub znali od innej strony. Nie bez przyczyny nadałem tytuł „Mistrz”, bo istotnie za takiego zawsze go uważałem.



Ze studentkami. Fot. Krzysztof Wojciechowski

To, co charakteryzowało Profesora, to wielka i głęboka wiara w słuszność swojej pracy, w to, że jest pożyteczna nie tylko dla naukowców czy studentów, ale także dla szerszych kręgów społeczeństwa. Terminy „rozwój zrównoważony” czy „ekorozwój” kojarzą się dziś wielu, zwłaszcza przyrodnikom, z wyświechtanymi frazesami, którymi „wyciera usta” każdy, nawet ci, którzy niszczą najcenniejsze miejsca w naszej ojczyźnie. Profesor jednak wierzył w tę ideę, traktował ją poważnie i co najważniejsze – napełniał treścią. To nie był przysłowiowy „kwiatek do kożucha” inwestycji, ekspertyz czy opracowań. Ta idea była na pierwszym miejscu i do niej opracowywano konkretne programy i projekty. Przenosił ją na najniższe szczeble – gminne. Podczas pracy w KUL, wraz ze studentami i współpracownikami zredagował 10 wzorcowych opracowań ekorozwojowych dla gmin. Metoda jego pracy, którą mamy nadzieję niedługo szerzej rozpowszechnić, przynosiła korzyści wszystkim: nam jako naukowcom, studentom – ukazując im, że ochrona środowiska to nie moda czy dumania nawiedzonych ekologów, i samorządom, które aktywnie włączały się w prace na rzecz swojej ziemi. Nie było to bowiem opracowanie na zamówienie, lecz wspólna praca wszystkich. Był to

prawdziwy ekorozwój stosowany.

Angażując się z oddaniem w szereg inicjatyw i prac, silnie motywował swoim zaangażowaniem innych. Fakt, iż w wieku niemal 80 lat wciąż był czynny zawodowo, mobilizował nas, jego uczniów, do aktywnej pracy. Przez to również gromadnie garnęli do niego studenci. Nigdy nie miał kłopotu z kompletowaniem ilości studentów na seminarium czy praktyki. W czasie kilkunastoletniej pracy w KUL wypromował ponad 70 magistrów. Z pewnością cechą, która przyciągała do niego wielu, była jego duża otwartość i kultura osobista. Podczas 10-letniej mojej u Niego pracy ani razu nie słyszałem, by się uniósł czy wyraził o kimś lekceważąco lub z pogardą. Potrafił rozmawiać z każdym z wielkim szacunkiem. Zdawało się, że interesuje go tylko to, co człowiek ma do powiedzenia, co robi, czemu jest oddany. Z równie natężoną uwagą słuchał interesantów w garniturach, jak i byłych punków-anarchistów z wytatuowanymi rękami. Dla mnie to pewien fenomen, że obracając się w sferach naukowych i politycznych potrafił z łatwością dogadać się z sołtysami, zwykłymi rolnikami czy kobietami z kół gospodyń wiejskich. Co więcej, realizował z nimi szereg różnych ciekawych przedsięwzięć na poziomie lokalnym.

Wierzył głęboko w sens aktywności oddolnej, zwłaszcza społecznej, a także we współpracę na wielu poziomach i z różnymi ludźmi. Nawet w ostatnim swym referacie wskazywał, że nie wolno dopuścić, by środowiska inżynierów i przyrodników zostały ze sobą skłócone i nieustannie walczyły, bo to niczego dobrego krajowi nie przyniesie. Swoją wiarę w pracę społeczną pokazywał m.in. uczestnicząc w działaniach licznych organizacji pozarządowych. Zakładał Polski Klub Ekologiczny, był członkiem honorowym Ruchu Ekologicznego im. Św. Franciszka z Asyżu oraz członkiem Rady Programowej Pracowni na rzecz Wszystkich Istot i jako jedyny – jej członkiem honorowym. Zagrzewał i aktywizował do pracy społecznej studentów i swoich pracowników. To On jako pierwszy powiedział mi (i wszystkim kolegom i koleżankom z mojego roku), czym się zajmuje Pracownia oraz pokazał nam „Dziki Życie”. Zawsze mawiał, że jest to jedyna gazeta „z twarzą”. Mogę powiedzieć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że gdyby nie On, być może nie byłoby mnie ani w „DŻ”, ani tym bardziej w Pracowni. Ruch ekologiczny zawsze wspierał, nie wstydził się nosić zielonej wstążki. Nigdy nie zdarzyło się, aby nazwał członków organizacji pozarządowej „ekooszołomami”, „łże-ekologami” czy „ekoterrorystami”, które to terminy nawet w języku profesorskim (zwłaszcza ostatnio) nierzadko się pojawiają. Zdając sobie sprawę z niedomagań wielu NGO-sów, zawsze uważał, że należy raczej starać się je ulepszać, a nie deprecjonować w oczach społeczeństwa.

Był też człowiekiem otwartym na współpracę. Mnie zwłaszcza ujmowało jego zaangażowanie i popieranie aktywności na Wschodzie. Zawsze cieszył się, gdy jechałem na Ukrainę czy Białoruś, dopytywał o wieści stamtąd, prosił o wyszukanie ludzi do współpracy – ale konkretnej, nie deklaratywnej. Popierał swym nazwiskiem i zaangażowaniem idee ponad granicami: korytarz ekologiczny doliny Bugu, międzynarodowy rezerwat biosfery „Polesie Zachodnie”, Zielone Płuca Europy. Czy to nad Wigrami, czy w nadbużańskiej Włodawie, rysował wizje współpracy i otwarcia się na Wschód.

Wizjonerstwo jego było jednak wizjonerstwem realistycznym. To, że wiele z jego idei nie jest realizowanych, nie było winą nierealności wizji, lecz oporu ludzi odpowiedzialnych za konkretne sfery życia społecznego. Przypomina mi się rok 2002, w którym pisaliśmy z Profesorem podania do szeregu instytucji (premier, minister środowiska, wojewodowie, marszałkowie i prezesi różnych funduszy) z prośbą o wsparcie idei powołania studium negocjatorów środowiskowych. Tak Profesor nazwał studia podyplomowe, na których absolwenci ochrony środowiska i kierunków pokrewnych mogliby doksztalić się w tym, co nas wówczas czekało, czyli problematyce sieci NATURA 2000, programach rolnośrodowiskowych, Ramowej Dyrektywie Wodnej itp. Widząc rzesze bezrobotnych absolwentów i zdając sobie sprawę, że członkostwo w UE nałoży na nas wymóg wywiązania się z szeregu zobowiązań w zakresie ochrony środowiska, Profesor przewidywał, że tacy odpowiednio wykształceni ludzie będą potrzebni w dużych ilościach. Wszyscy nagabywani oczywiście życzyli nam

powodzenia - i nic poza tym. Dziś narzekamy na brak społecznej akceptacji sieci NATURA 2000, mamy problemy we wdrożeniu programów rolnośrodowiskowych i szereg konfliktów z gospodarką wodną. Może warto wygrzebać z segregatorów stare pisma prof. Kozłowskiego...

No i był jeszcze bioregionalistą. Wszędzie, gdzie się pojawiał, czy to na praktykach, czy na badaniach, starał się poznać lokalne uwarunkowania przyrodnicze, kulturowe, historyczne. W swoim domu w Radachówce pod Warszawą zbierał lokalne wyroby sztuki ludowej: wycinanki, tkaniny, a także narzędzia rolnicze i sprzęty domowe. Na werandzie domu, pod okapem z bluszczy, z zaciekawieniem słuchałem Jego opowieści o kobielskim ośrodku tkackim, niegdyś prawie tak silnym jak łowicki, o wielkim głazie ofiarnym w Głupiance, z którego ksiądz zrobił stopnie do kościoła, a przedzierając się przez chaszczkę parku w Gadce szukaliśmy obelisku postawionego ku czci hrabianki Zamojskiej, zmarłej wskutek pogryzienia przez żmiję. W Borach Czemiernickich domniemywaliśmy, gdzie też Rydz-Śmigły mógł ukryć swoją marszałkowską buławę, a pod Terespołem szukaliśmy resztek drogi fortecznej na przedpolu twierdzy brzeskiej. Pasje poznawania obszaru, na którym mieszkał, który badał, przekuwał w realne przedsięwzięcia. Inspirował powstawanie izb regionalnych i skansenów, namawiał właścicieli dworów i pałaców, by chcieli udostępniać je zwiedzającym, wspierał lokalne instytucje i organizacje. Dzięki niemu ocalała szkoła w Dłużewie nad Świdrem.

W piękne wrześniowe popołudnie pożegnaliśmy Profesora na Cmentarzu Powązkowskim. Jesienne ciepłe słońce opromieniało blaskiem grób, który przyjmował do swego wnętrza już trzecie pokolenie tego zacnego rodu. Przyroda, o której zachowanie walczył przez całe życie, ozłociła miejsce pochówku dukatami żółtych jesionowych liści. Ci, dla których znaczył wiele, przyszli, aby towarzyszyć mu w tej ostatniej wędrówce. Lecz czy na pewno ostatniej? Człowiek wszak żyje tak długo, jak pamięć o nim i jak długo żyją idee, którym był wierny.

Krzysztof Wojciechowski